

ręce. Patrzyli sobie w oczy długo, rzewnie. Wreszcie Ludwika spuściła wzrok.

— Najdroższa! musisz wyjechać ze mną na pół godziny do lasu Bolońskiego. Muszę z tobą pomówić z dala od tych odrapanych ścian, które mnie gnębią, jak wyrzut sumienia. Cała niecna intryga jest wykryta. Teraz chcę wiedzieć, czy ty, mój skarbie, zechcesz słuchać tego, który cię tak bezpodstawnie podejrzewał.

Ludwika Dubois, milcząc, wdziała skromniutki płaszcz. Potem zbiegli po schodach

i niemy szofer, milcząc zatrzasnął drzwiczki samochodu.

\* \* \*

Wśród zielonych, rozkwitłych drzew kłęsały wilgi i kosy. Po długiej, wysypanej białym piaskiem alei snuły się tam i z powrotem rozmazane pary. Chłodny, orzeźwiający wietrzyk rozsiewał żar południa. Ludwika Dubois siedziała wzruszona na jednej z ławek, a Piotr właśnie kończył jej opowiadać skomplikowaną powieść ich roślaki.

— Więc widzisz Ludwiko, że nic już nas nie dzieli i myślę, że nie odmówisz mojej prośbie. Niech więc dłoń ta, którą teraz pieszczę a która spoczęła w moich dłoniach z taką ufnością zostanie w nich na zawsze

— Ukochana! czy chcesz podzielić ze mną dole i niedole życia?

Ludwika spojrzała tkliwie na młodzieńca.

— Ty wiesz, najdroższy. — Zielone drzewa i kwiaty rozkwitłe były świadkiem długiego ich pocałunku.

KONIEC.

B. WARCHAŁOWSKI.

## Niesamowity wynalazek -

3

Ołówek dziennikarza biegał szybko po notatniku.

Z za uchylonych drzwi wyrzucił loczek Zary. Behr, usłyszawszy skrzypnięcie wstał szybko i zaczął się żegnać. Gdy wychodził, zdało mi się, że widzę w jego oczach ironiczne błyski. Potem, jak błyskawica, przeleciało mi przez głowę podejrzenie. Zasłona z oczów spadła. Malutki, nieznaczący lęk przed czymś nieznanym, przed czymś, co dopiero czas miał wyjaśnić, wkraść mi się do gardła i zmarszczył na czole skórę.

\* \* \*

Praca w laboratorium dobiegała końca. Nie była już to właściwie praca laboratoryjna. Cała sala, ściany, półki, stoły, zarzucone mapami różnych wymiarów, przypominały raczej wojskowy sztab. Arno sam już nie mógł roboczo podolać. Zaprzęgił mi do wykaficzania drobnych usterek aparatu, a sam z trzema pomocnikami mierzył i kombinował. Dni mijały szybko. Dziś przypominam sobie ten czas i widzę nastroje zadywionych, bezsennych nocy, pełnych cyfr, obliczeń, statystyk. Arno Hempel wywiązał się jednak z zadania znakomicie. Plan był gotowy w niespełna dwa miesiące.

Wracającego z laboratorium, witała mnie Zara z oczami pełnymi tęsknoty. Krwawe wargi i sułtelne, giętkie rączki zmywały z mych powiek ślady bezsennych, pracowitych nocy. Dowiedziała się o celu naszej pracy od Arna. Okazała zdziwienie, zaciekawienie, a potem przejęła się naszym posłannictwem, i okazywała mi coraz to więcej miłości.

Jednak, gdy mi pełen nadziei i wielkich projektów, opowiadał jej najskrytsze swoje rojerie, w ogromnych, czarnych oczach dziewczyny widniała trwoga i rezygnacja.

Przyzwyczaiła się już, jak domowa kotka do roli najcenniejszego mego sprzętu. W pracowni, w myślach mych, przepelnionych fizycznymi formułkami błąkała się cudna, giętka postać mojej małej leżącej na kanapie, palącej setkami papierosy.

Wreszcie raz późnym wieczorem wstałem od aparatu zupełnie zmontowanego. Mapa Arna pstra była od cyfr, notatek, dopisków. Patrzyliśmy na siebie z junackim poczuciem potęgi. Plan Arna był prosty, logiczny, bezapelacyjny, jak śmierć. Wielkie koło o promieniu dwustu sześćdziesięciu kilometrów w krąg szczytu Mont-Blanc, będzie kołem śmierci. Musimy ostrzedz naszych sojuszników, by czempredzej z tego rejonu wyjechali. Za dwa lub trzy dni zaczynamy. Czuję ogromne zmęczenie... W najskrytszym zakątku mózgu błąka mi się jakiś wyrzut. Chciałbym odwlec straszną chwilę zniszczenia Niemożliwe! . . . . .

II.

W cudowny, roześmiany, wiosenny dzień jedziemy w trójkę samochodem. Zara, osłonięta długim pomarańczowym szalem, z rozkoszą kąpie się w porannym wietrze. Wieśniacy, spokojnie sadzący winne latorośle, z ciekawością patrzą na rozpędzone, okryte zwojami kurzu auto, mknące z pagórka na pagórek.

Prowadzę maszynę sam. Arno, siedzący koło mnie, trzyma na kolanach futerał z czułymi czułkami aparatu. W złotych promieniach roziskrzającego słońca nie wygląda to jednak wcale prze-

rażająco. Oł takie sobie zwykłe czarne pudło.

Tak! już jedziemy na Mont-Blanc zdobywać świat, dzięki jednak przepięknej pogodzie, mam wrażenie, że to spacer, rozkoszna wiosenna przejażdżka wśród zielonych drzew. Od czasu do czasu oglądam się w tył, by widzieć myśli, odbijające się w smagłej twarzyczce Zary. O! bo wrażeń teraz jej nie zbraknie! Nie myślę nic o tem, co się ma stać. Upajamy się słoneczną rzeczywistością, piękną, jak perska bajka. Kraj zaczyna się robić coraz to bardziej górzysty. Mknijemy z ogromną szybkością. Wznosimy się na szczyty, spadamy ślomo w dół. Droga, jak ślimakownica wiję się wśród sosnowych lasów. Wysokie świerki chylą zakurzone gałęzie nad gościnnym. Twarze przechodniów, bezmyślne, łepę, migają tylko w tym rozkosznym pędzie.

Cudny kraj!

Szczyły wznoszą się coraz wyżej, coraz dumniej. strzelają pod obłoki śniegiem, pokrytymi wirchami. Ogromne białe łachy śnieżne wyciągają w dół, do przyziemnych siedzib człowieka potworne paluchy.

Arno siedzi spokojny, nie racząc nawet spojrzeć na tę cudną panoramę.

Myśli.. duma... oblicza..

Granica! Pokazujemy paszporty. Wszystko w porządku. Widziałam na twarzy Zary uśmiešek tryumfu, gdy ruszyliśmy dalej! Znow pędzimy, zostawiając za sobą chmury pyłu.

Zora krzyczy mi do ucha: — Eryl co za rozkoszna jazda! powiększ szybkość! To jest naprawdę jazda po zwycięstwo.

Przejeżdżamy z rykiem syreny przez ulice jakiegoś miasteczka. Widziałem, jak policjant zrobił niezdeterminowany ruch ręką w naszym kierunku. Biedak. Ta okolica to już strefa śmierci.

Słońce chyli się ku zachodowi. Czerwone promienie, osnute zwojami pyłu przyświecają nam do końca.

Dojeżdżamy. Szczyt Mont-Blanc szczyty ku nam zęby lodowca, przyjaźnie, śmiejąco mruga na nas światłkami domków na zboczach.

Wysiadamy. Stacja kolejki zębatej.

W ciemnym, oświetlonym słabą żarówką przedziale, twarz Zary przybiera wyraz straszny. Patrzy na mnie łubieżnym wzrokiem, rozchylając krwawe usta. Nic z tego, Zaro! Dziś nie pora na pieszczoty, tak mi się w każdym razie zdaje.

Ze zgrzytem jedziemy wolno, pewnie, ciężko. Ściany przedziału trzęsą się, światło migoce. Coś stuknęło wścickie. Stanęliśmy.

Mont Blanc!

W schronisku niema nikogo. Stary, pomarszczony góral rozpala nam ogień w izbie. Arno nerwowo rozkłada na stole mapę i liczy, liczy, popijając gorącą kawę. Zara wyciera mi twarz ręcznikiem z wodą kolońską. Z największym w świecie spokojem otwieram „Zaratustrę“ i czytuję zdanie po zdaniu, twarde i zarazem roz-wlekłe, wolno, poważnie.

W izdebce jest przytulnie. Ogień na kominku wesoło trzeszczy. Duża naręcz drzewa czeka na spalanie.

Zara wyjmuję jakieś wiktuały, nalewa trzy kieliszki koniaku, przyrządza kanapki. Cnodź, żonusi, siadaj tu, koło mnie. Bardzo nam dobrze z sobą. Prawda? Skrzypnęło coś w sosnowych drzwiach i wszedł stary posługacz.

— Ten doktor z obserwatorium chce się z państwem widzieć. Czy można go wpuścić?

Arno podniósł głowę z nad mapy. — Owszem, poproś.

— Pani Zaro, może będzie pani tak dobra nalać jeszcze jeden kieliszek dla naszego przyjaciela.

\* \* \*

Doktor Francois Gaubin w sferach astronomii-matematycznych, był wielce sławny człowiekiem, znanym ze śmiałości hipotez. Od przeszło roku osiadł w obserwatorium na Mont-Blanc, z dala od ludzi, zatopiony w zawitych astronomicznych badaniach, zapatrzonej w czysty, granatowy bezmiar nieba, usianego miliardem świecących, zwodnych gwiazd. Wieści ze świata dochodziły go rzadko. Za wyjątkiem co tygodniowych sprawozdań astronomicznych i listów Arna Hempla nie było nic, co by go łączyć mogło z uprzemysłowioną planetą... ziemią.

Czuł, że z dnia na dzień staje się coraz mniej zależnym od świata. W spokojnym, systematycznym cielsku astronoma nie było miejsca na niedorzeczne entuzjazmy.

Regularna miłość ze spaśną Bertą w zupełności zadowalała jego zwierzęce wymagania. Jedyńa rzeczą, która go co pewien czas rzeczywiście z równowagi wyprowadzić mogła, były właśnie listy Arna.

Po każdym sapał zirytowany co najmniej godzinę, kłął we wszystkich murzyńskich dżalektach, odczytywał drugi, trzeci raz... a po tem uśmiechał się, machał ręką...

— Niech i tak będzie! Sapristi! coż mi to właściwie może szkodzić?

W ostatnich jednak czasach doktor sapał coraz mniej, a śmiał się coraz częściej. Trudno zdać sobie sprawę ze śmiechu doktora Gaubin. Otwierał paszczkę szeroko, szeroko, jak hipopotami rżał, rżał, do pustych ścian, do stosów książek, do ogromnego teleskopu, długo, rozgłośnie, żiadliwie.

— Do Neptuna! do czarta! podoba mi się jednak ten Arno. No, patrzcie! takie hece. Ineroyable! to hycell!

Gdy wchodził do naszej izdebki, miał wygląd dobrego i jowialnego niedźwiedzia z gór. Szerokim gestem wyciągnął do nas kosmatą łapę. W mojej ręce stanowczo coś chrupnęło.

Arno zwinął starannie mapę i schował notes do kieszeni.

— Przyjechaliśmy, Francis, żeby zacząć, myślę, że zrobiłeś przygotowania w obserwatorium?

Ha! czy myślisz, mały, że jestem do niczego? zobaczcie zresztą sami.

Otuiliśmy się jak najcieplej. Stary góral zrobił zdziwioną minę, widząc, że wychodzimy o tak późnej porze. Zora została sama, siadła koło pieca i piła koniak kieliszek po kieliszku.

Ogarnął nas wiatr i śmiał. Uginałem się, niosąc razem z Arnem ciężką skózaną skrzynię z aparatem. Francois, niosący na ręku czarny futerał, mało nie wyrzucił się pod naporem wichury. Hempel syknął ze złością:

— Uwaga!

Szedłem zły na tego niedźwiedzia i Arna za przechadzkę w takim zimnie.

Obserwatorium już nie daleko. Odrazu spostrzegłem ogromną, sterczącą nad dachem rurę teleskopu i oświetlone okienka mieszkania astronoma.

Rzucił się na nas ogromny pies. Doktor z trudem go odegnął.

W niskim, miłym pokoiku Berta zaparzyła nam herbatę. Francois wyciągnął jakieś wino. Pijemy w milczeniu.

Czuje, że sen mię zmorzy lada chwila. Arno zapala papierosa i zaczyna wypytywać doktora o różne szczegóły przygotowań. Astronom na dachu obserwatorium zrobił coś w rodzaju budki sternika, zmontował aparat na ruchomym łożysku, zniwelował rurę, wyznaczył astronomi cznie jej położenie i teraz z miną niewinną zaciera ręce, grzejąc je przy płonącym stosie drzewa.

(Ciąg dalszy nastąpi).